

po prostu

TYGODNIK STUDENTÓW I MŁODEJ INTELIGENCJI

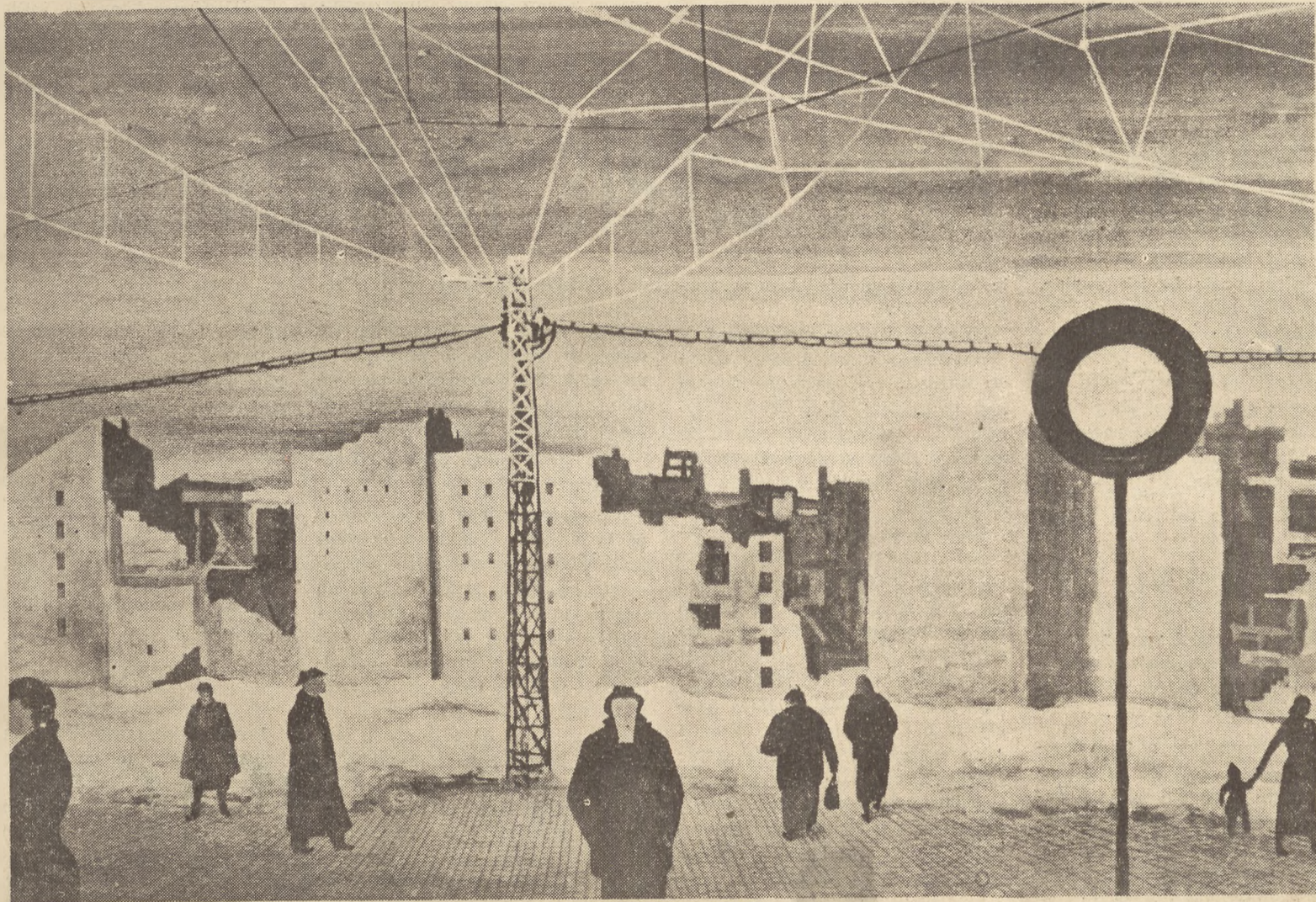
Z okazji inauguracji nowego roku akademickiego
serdeczne życzenia owocnej pracy wszystkim studentom
i pracownikom naukowym składa

REDAKCJA

Nr 31 (340)

2. X. 1955

Cena 35 gr



MARIAN FOGUSZ „Berlin 1955” (olej) 1955.
W salonie wystawowym „Desy” na Rynku Starego Miasta w Warszawie, czterech młodych artystów warszawskich wystawiło swe prace. Byli to: MARIAN FOGUSZ, ZBIGNIEW DŁUBAK, KAJETAN SOSNOWSKI i ANDRZEJ ZABOROWSKI. Z wystawy tej reprodukujeśmy dzisiaj prace Z. Dłubaka i M. Bogusza.

WŁODZIMIERZ GODEK

Sądecki tor przeszkód (2)

OBUDŹCIE SIĘ!...

Jeszcze pod wrażeniem przygnębiającego obrazu, który rozłożył przede mną mój rozmówca, spoglądałem na haki-słupki salę. Czwartki czyste na stołach, rozognione oblicza ludzi przychodzących tu „odetchnąć”. Wokół padały ordynarne „żarty” i powiedzonka, krążyły plotki. Pijany mężczyzna opowiadał, jak to udało mu się sprzedać talon na motor i przehandlować starą dekwę. Skrzypnęły drzwi i przy sąsiednim stoliku przystanąła jakaś kobieta. Mężczyzna w welwetowej marynarce zmieszał się i powoli zaczął wstać. Kobieta podeszła bliżej i uderzyła go mocno w twarz. — „Ty bydlaku — wykrzykiwała piskliwie — wóde chłiesz, a dzieciom nie nie dasz?” — Mężczyzna oszołomiony bąkał coś niewyraźnie, a potem, wśród ironicznego chichotu towarzyszy, kopnął żonę w nogę. Kobieta porwała fiolkę, a mężczyzna widząc to czynił do wyjścia.

Mój rozmówca odszedł już dawno. Na odchodnym rzucił swoje: — „Daj ognia. Papieros mi zgasi!” — i obiecał wrócić za dwie godziny. Zostawił przytępięte myśli i jakąś beznadziejność. Każdym słowem budził sprzeciw, choć podane fakty były bezspornie prawdziwe. A może miał rację? Znam Nowy Sącz. Wiem, że każdego, kto zamieszka w jego wąskich i rozplątanych uliczkach, wciąga drobniomieszczańskie światło, kształtowany według gustów przeciętnego sądeckiego mieszcza. Z blisko stu absolwentów wyszukałem zaledwie kilku, którzy oparli się rdzewiejącym trybom mieszczańskiego agregatu. Dlaczego pozostali dali się złamać, czemu opuścili ręce? Przewracałem powoli kartki notatnika. Odczytywałem luźne notatki. Wrażenia z pobytu w Warszawie Kolejowych, w których praca jest dobrym sprawdzianem wartości młodych absolwentów. Warszawa ma przeważnie przestarzałe wyposażenie, wymagają więc coraz to nowych innowacji, usprawnień i ulepszeń. Wśród ofiarnej i dobrej załogi, gdzie kiedyś nie miało wpływu WRN, jeszcze dziś pojawia się często plotka, a nawet i śmiech. W organizacji partyjnej wielu towarzyszy to ludzie wierzący, trudno i z oporami pozbijający

się drobniomieszczańskiej mentalności. Słabo oddziałuje organizacja zetempowska. Wyniki obrad egzekutywy Komitetu Zakładowego, poświęconej pracy zetempowskiej, dowodzą, że niewiele zmieniło się w organizacji po II Zjeździe ZMP. Z cierpliwych, białych kart notetu wyłaniają się sylwetki ludzi. Magister inżynier Łukasik. Niewysoki mężczyzna w brezentowym płaszczu. Do niedawna aktywista partyjny. Rozrabiacz, pijak, człowiek nieuczciwy. Niedawno miał sprawę w instancjach partyjnych o rozpijanie młodzieży Technikum Kolejowego. Opowiadają, że w roku ubiegłym na publicznej zabawie biegł po sali... bez spodni. Obiecywał „złote góry” kolejarzom, a bardzo rzadko dotrzymywał przyrzeczeń. Jest nie lubia... Właśnie koledzy wstydzą się za niego.

Inżynierowie: Jerzy Glen, Mieczysław Rajter, Tadeusz Nosal. Nie znam ich bliżej, z wyjątkiem Nosała — mego dawnego kolegi. Mam o nich tylko opinie. Dobry fachowcy, mało pracują społecznie, nieorganizowani. Niemożliwe! Pamiętam przecież, że Tadek Nosal to stary OMTUR-owiec! Tak, mam rację. „Nieorganizowani” — to przecież zetempowcy! Nosal od 1945 roku należał do OMTUR-u, a potem do ZMP. Jerzy Glen wstąpił do Związku w 1949 roku, a Mieczysław Rajter od 1948 roku pracował w uczelnianej organizacji zetempowskiej! Pewnie, że Rajter jest już trzydziestoparoletnim mężczyzną, a dwaj pozostali dobiegają trzydziestki. Ale gdy przychodzili do Zakładów byli w wieku „zetempowskim”. Dlaczego nikt, do mego przyjaciela, nie wiedział o ich przynależności do organizacji? Dlaczego młodzi absolwenci nie załatwili swych spraw związkowych? Dlaczego tak łatwo wyłączyli organizację ze swych planów życiowych i nie pomagają tutejszym kolegom? Czy może dlatego, że zarabiają powyżej dwu tysięcy miesięcznie, mają dobre mieszkania i urządzili się — uważają, że nie ma już o co walczyć, że osiągnęli już swój cel w życiu?

A pozostali? Poza inżynierami: Burnaglem, Stenderą i Gołosińskim, nie cieszą się dobrą opinią. Kiedy prosi się ich, by wyjechali na wieś,

odpowiadają bez zmruczenia oka: — „Niech jadą głupi!” — Kiedy trzeba wziąć się za pracę społeczną — twierdzą, że „nie potrafią”. A pomachać przed nimi pieniędzmi — zdolności się znajdują.

Rafał — młody, bardzo zdolny magister prawa. Po wielu trudach dostał dobrą posadę. W czasie studiów marzył o karierze literackiej — całkiem nieźle pisał. Chciał pisać o życiu kolejarskich rodzin, marzył jak pomóc swemu miastu. Dzisiaj pisze... prywatne podania. Dzisiaj marzy... o adwokaturze, bo to daje i pieniądze i „szacunek” u ludzi.

Dzieki — dawny sekretarz organizacji partyjnej w swym zakładzie pracy, dzisiaj w nowiułkiej samodzielnym marynarce i piętroch butach przemierza bez celu Jagiellońską. Jest szczęśliwy — zarezył się z przystojną sądeczanką. Nie ma już wielkich pragnień i zamiarów. Zrezygnował z wszystkiego. Niedawno, dla „świętego” spokoju, od dziesięciu lat po raz pierwszy przekroczył progi kościoła.

Czy to ci sami ludzie, którzy na uczelni marzyli o tym by burzyć i budować, czy to ci sami, którzy tak pięknie mówili na zetempowskich zebraniach o przeobrażeniu życia swych miasteczek? Mój rozmówca, który przed chwilą białad nad trudnym życiem w Nowym Sączu, opowiadał o młodym magistrze farmacji, przewodniczącym koła ZMP, który marzy o założeniu prywatnego gabinetu dentystycznego, młodym inżynierze wstydzącym się swego materialistycznego światopoglądu. A on sam — stary zetempowiec — opuszcza ręce i chce niekiedy do większego miasta? Czy ci wszyscy ludzie zdają sobie sprawę czym jest ich bierność? Czy rozumieją, do czego musi doprowadzić taka postawa życiowa?

— Przepraszam, czy mogę się ośmielić? Pańska twarz jakoś mi znajoma, czy pan nie z województwa?

Niespodziewany głos wyrwał mnie z zamyślenia. Przede mną stał korpulentny, schludnie ubrany starszy pan. Dobiegał chyba siedemdziesiątka, chociaż trzymał się jeszcze dobrze. W rękę trzymał sta-

roświecki melonik a prawą nogę, odzianą w szare kamasze. wysuwał pretensjonalnie do przodu. Z kieszonki popielatej kamizelki fantazyjnie zwisał mu łańcuszek od zegarka. Patrzył niespokojnie, jakby prosił o potwierdzającą odpowiedź. Ku jego widocznemu żalowi — zaprzeczyłem.

— Bardzo mi przykro — odrzekł szczerze zmartwiony i rozejrział się po sali. Wszystkie miejsca były zajęte. Jedyne wolne krzesło stało przy moim stole. Starszy pan pokręcił się niezdecydowanie i z wahaniem zajął wolne miejsce. — Mówiono mi — zaczął usprawiedliwiająco — że instruktor z województwa nareszcie przyjechał do naszego miasta. A ja wiem, proszę pana, że każdy delegowany do Sącza, wieczorem zachodzi tutaj na

(Dokończenie na str. 7)

WIESŁAW GŁOWACKI

KLUBY MŁODEJ INTELIGENCJI

Angielska bierze ochotę,
Bym nudne ciało zawiesił.
A kółko zwabia do żywota?
Kto zgasi męstwo wykrzesi?

Przyjaźni, o pokon tobie!
A wam busiak, rówieśnicy!
Ach, wolałbym z wami w grobie,
Niżli bez was na stolicy

(Mickiewicz — do Czeczota)

Sprawa klubów młodej inteligencji nabiera rozgłosu. Inicjatywa naszego pisma i absolwentów z Brzozowa spotkała się z szerokim uznaniem. Oprócz PO PROSTU pisało już o niej w „Trybunie Ludu”, „Sztandarze Młodych” i kilku dziennikach prowincjonalnych, a Polskie Radio poświęciło jej specjalną audycję. Czytelnicy PO PROSTU wyrażają gotowość pomocy w realizacji tej — jak piszą — wspaniałej idei.

Jednak oprócz uznania słyszy się również głosy powątpiewania a nawet sprzeciwu — sądzą, że tam gdzie nie są to głosy wroga, wypływają one chyba z niezrozumienia istoty i zadań klubów. Warto więc pokusić się o przedyskutowanie tych spraw. Tym bardziej, że domaga się tego szereg osób a nawet komitetów organizacyjnych pragnących założyć kluby.

Skąd wzięła się idea klubów młodej inteligencji?

Już od szeregu miesięcy PO PROSTU poświęcało wiele miejsca problemom absolwentom; publikowano tu szereg reportaży, artykułów publicystycznych, czy pamiętników mówiących o życiu naszych absolwentów, o ich osiągnięciach i trudnościach. Więcej o trudnościach. Bo okazało się, że do pokonywania ich nigdy nie jest się za dobrze przygotowanym.

Absolwenci, którzy opuścili wielkomiejskie środowiska wyższych uczelni i znaleźli się w małych, „nieatrakcyjnych” miejscowościach, choć zwykle rozumieli społeczność tego konieczność — mogli poczuć się trochę pokrzywdzeni. Młodzi ludzie opuściwszy kolektyw studentek, z którymi dzielili się smutkami i radości przez tyle lat — mogli poczuć się trochę osamotnieni. Zetempowcy, którzy dotychczas „jednomyslnie” działali pod opiekunskimi skrzydłami swej organizacji, znalazłszy się pod bezpośrednim ostrzałem drobniomieszczańskiej ideologii — mogli poczuć się niezbyt silni.

I stąd nawet ci, którzy produkują w pracy i wydają się zupełnie zadowoleni — nieraz poddają się nastrojom zniechęcenia, czasem nawet kapitulują. Prowincjonalna „śmietanka inteligenta” (patrz artykuł Małachowskiego w poprzednim nrze PO PROSTU) zbierała żniwo.

Ale ludzie o młodych, niespokojnych sercach i szerokich horyzon-

tach intelektualnych mają to do siebie, że zawsze — nawet w chwilach załamania — pragną życia bardziej pełnego, twórczego, dającego prawdziwe zadowolenie. Tylko nie zawsze wiedzą jak to osiągnąć.

Jak? Już s'o trzydziści pięć lat temu młody Polak o bardzo gorącym sercu odpowiedział na to pytanie: „Razem, młodzi przyjaciele!”

W dyskusjach z wieloma absolwentami rodziła się myśl łączenia młodej inteligencji w kolektywy przyjaciół umiających się dobrze bawić, w kolektywy pogłębiania swej wiedzy i twórczego udziału w budowie piękniejszego życia dla wszystkich. Zrodziła się idea klubów młodej inteligencji, a pierwsi próbują wcielić ją w życie młodzi z Brzozowa.

Jakie są zadania takiego klubu? Przypomnijmy:

Po pierwsze — młodzi zgrupowani w klubie pragną „rozruszać” swe życie towarzyskie. Wzajemne poznanie się, wspólne spędzanie wolnego czasu na rozmowach, grach towarzyskich, „herbatach tanecznych”, wycieczkach itd. itd. — wszystko to dostarczyć przyjemnej rozrywki, wyrwać młodych ludzi z nastrojów nudy i osamotnienia, stworzyć nowe więzy przyjaźni, która z czasem stłonie się podstawą całej aktywności klubu.

Po drugie — członkowie klubu chcą ożywić swe życie intelektualne poprzez zapoznawanie się z najnowszymi osiągnięciami nauki, czynny udział w życiu kulturalnym i dyskusje, przede wszystkim dyskusje. Nad obejrzanymi filmami czy przeczytanymi książkami, nad ciekawszymi artykułami z prasy na tematy moralne, światopoglądowe, kulturalne, naukowe, polityczne, sportowe itd. itd. Oczywiście takie dyskusje mogą być ciekawe i pożyteczne tylko wtedy, gdy każdy szczerze będzie mówił o swych poglądach czy wątpliwościach, gdy każdy będzie chciał wiedzieć i rozumieć coraz więcej. Podnoszenie poziomu intelektualnego to istotna cecha działalności klubu, o ile rzeczywiście ma on być klubem inteligencji.

Po trzecie wreszcie — klub musi pomóc swym członkom w wywalaniu najszlachetniejszych uczuć: walki o to, aby każdemu żyło się szczęśliwie i dostatnie, aby szybkości obalać stare i budować nowe życie. W oparciu o wewnętrzne przygotowanie — przyjaźni i wysoki poziom intelektualny — klub powinien stać się więc ważnym czynnikiem socjalistycznej przebudowy powiatu. Omawiać na swych zebraniach różne bolączki lokalne po to, aby pomagać w ich usuwaniu, aby występować z odpowiednimi wnioskami (np. poprzez prasę — gdy nie pomogą lokalne interwencje), czynnie pomagać partii i władzom terenowym w upowszechnianiu kultury i oświaty np. poprzez organizowanie odczytów, publicznych dyskusji itp. Szczególne pole do popisu — to współpraca z domami kultury: pomoc w ożywieniu ich działalności, a tam gdzie domów takich jeszcze nie ma — w ich urzuceniu. Śmiało inicjatywa i szeroka aktywność mogą z biegiem czasu uczynić z klubu „elitę” w najlepszym tego słowa znaczeniu — jak gdyby szturmową czołwkę kulturalną powiatu.

Taka działalność klubu — to niewątpliwie wyraz dążeń każdego młodego człowieka o szerokich horyzontach intelektualnych i gorącym sercu. To siła, która dotychczas jakże często nie była wykorzystywana, a która może stać się aktywnym pomocnikiem partii w walce ze złem i w budowaniu nowego, przede wszystkim w ofensywie kulturalnej. Trzeba tylko, by terenowe organizacje partyjne dostrzegły tę siłę i zechciały ją wykorzystywać, by powstałe kluby spotkały się z ich strony z życzliwą opieką i pomocą.

Nie można jednak uważać klubów za jakąś nową „odgórną” kierowaną organizację młodzieżową. Szczególnie niebezpieczne jest utożsa-

(Dokończenie na str. 2)

Maksym Rylski

Jeszcze znowu otworzyłem księgę „Tadeusza”,
Rozłożyłem papiery, zasłoniłem okno,
Znowu szlachta przeciąga w rojnym korowodzie
I w romantyczność drapuje się Hrabia.
I znowu róg myśliwski gra ponad borami,
Jakby wyrzucił w niebo triumfalny zew.

Znowu mistrza podziwiam, który tak potrafił
Prowadzić swoją niezawodną ręką
Butnych panów. I w ciszy znów zabrzmiały słowa
Potężne niby spłzu uderzenie.

Ale ręka bezwładna już wypuszcza pióro,
Bo oto w moich oczach powstaje i rośnie
Kobieca postać, krucha jak drobna kruszynka...
Cieniutkie dłonie niby para skrzydeł
Podnoszą się w nieśmiałym geście
I wśród warkoczy pierwszy siwy włos
Przypomina o bólu, mówi o jesieni.

przełożył Jerzy Hordyński

ŁOMEM W ŁEB

PRZYCZYNEK
DO PEWNEJ
POLEMIKI

Nie zamierzałem zabierać głosu w sprawie dogmatyzmu, przynajmniej nie teraz. Powstrzymała mnie od tego przede wszystkim świadomość, że kol. Pomian nie wypowiedział jeszcze swych myśli do końca, wobec czego należy poczekać z ich oceną. Powstrzymało przekonanie, że lepiej pisać niedogmatyczne artykuły niż artykuły przeciw dogmatyzmowi, powstrzymało wreszcie mnienie, że pomijając kilka szczegółów, główne tezy kol. Pomiana są aż nadto oczywiste.

Rewelacji w tym nie ma. Napisałem to zostało z młodzieńczej swadą, czupurnie, było w artykule trochę zarozumiałstwa i na pewno wiele z wymachiwania żelaznym łomem przed otwartymi drzwiami. Przysięgam, że uśmiechałem się z lekka przy lekturze Pomianowego artykułu, zwłaszcza, gdy oświadczał, że „sercem gryzie” i obiecywał odsłonić gnoseologiczne i społeczne korzenie dogmatyzmu. No cóż, artykuł do historii filozofii zapewne nie przejdzie, być może Pomian nie umieści go nawet w Dzielnicy Wybranych, których się kiedyś doczekamy, ale napisany jest kulturalnie, czyta go się z zainteresowaniem, a ponieważ dogmatyzm straszny jeszcze u nas mocno i bardzo osłabia naszą walkę z wrogą ideologią, więc artykuł uważałem w sumie za pożyteczny.

Ale spokój mój przysnął, gdy przeczytałem w następnym numerze PO PROSTU artykuł kol. Bauman. Czegoż bo tam nie było. Dowiedziałem się, że według Pomiana „wrogiem w wielkiej bitwie o oczyszczenie naszej filozofii z dogmatyzmu jest... „wierność klasynom marksizmu”, że dalsza droga wzniosła, tak bardzo potrzebna, polega nie na obalaniu tez klasyków, jak w gruncie rzeczy racji kol. Pomian, że „marksizm nie wystarczy ludziom (tzn. Pomianowi — J. G.), bo go nie znają” itp. itd.

Bój się Boga, Mazurkiewicz! „Obalenie tez klasyków”, „wierność klasynom jako podstawa dogmatyzmu”, nie ma co, na wysokiego konia

wsiadł kol. Bauman. Już chciałem złożyć samokrytykę za brak czujności, postanowiłem jednak sięgnąć przed tym raz jeszcze do artykułu Pomiana, by urzecz gada w całej nagości. Ale widać szatan rewizjonizmu poraził czy moje ślepotą, bo jako żywo nie mogę dopatrzeć się siedmiu grzechów głównych, które Bauman zarzuca Pomianowi. Znalazłem za to w artykule Baumana sporą porcję nieporozumień, no i dość osobliwą metodę polemiki. Ale o tym później.

Zacznijmy od podstawowego zarzutu. Po wytoczeniu ciężkich dział przeciw Pomianowi następuje u Baumana dłuższy wywód o konieczności studiowania klasyków i o niedostatecznej znajomości klasyków jako źródła naszych niedomagań. Sądze, że niewielu czytelników PO PROSTU nie zgodzi się pod tym względem z Baumanem. Dla marksisty stwierdzenie, że sięgamy do dzieł klasyków po natchnienie i radę jest rzeczą oczywistą, na pewno też sięgamy do klasyków za mało i zbyt powierzchownie. (Na marginesie chciałbym tu zwrócić uwagę, że we wszystkich wykazach literatury odsyłamy czytelników do stosunkowo niewielkiej liczby dzieł głównych, a nie zwracamy ich uwagi na pozycje mniej znane, kryjące w sobie ogromne bogactwo, jak np. artykuły i przemówienia Lenina z okresu władzy radzieckiej, z których polecamy tylko nieliczne, jak listy Marksa i Engelsa itd.).

Ale co to znaczy sięgać po natchnienie do klasyków? Kol. Bauman nie precyzuje tego bliżej, a tymczasem Pomian wystąpił właśnie nie przeciw sięganiu do klasyków, lecz przeciw wykorzystywaniu ich dorobku w szczególny sposób, który nazwał — słusznie — dogmatycznym.

Bierzemy z dzieł klasyków najwyższe uogólnienia dotychczasowej nauki. Bierzemy podstawy nauki o społeczeństwie. Bierzemy cały szereg twierdzeń szczegółowych, których wartość pozostała do dziś niezmuszona. Bierzemy w pierwszym rzędzie metodę, przy pomocy której

będziemy mogli rozwinąć dalej stworzoną przez nich naukę. Ale jest, niestety, wielu takich, którzy z dzieł klasyków biorą nie myśli lecz słowa, którzy — i rację tu ma Pomian — potraktowali dzieła klasyków jako podręczny zbiór gotowych formuł, jakimi można się posłużyć przy każdej okazji, którym słowa klasyków zasłaniają świat, zamiast go przed nimi otwierać.

Znam wykładowcę podstaw marksizmu-leninizmu, który przystępując do opracowywania skryptu rozkłada na stole, krzesłach i podłodze książki otwarte na stronicach, na których klasyki piszą o danym przedmiocie i spisuje z nich po kolei. Wykładowca ten chwalił się kiedyś w mojej obecności, że w skrypcie jego nie ma ani jednego zdania, które nie byłoby „sprawdzone” tj. do którego nie miałby „podkładki” w postaci zdania klasyków. lub co najmniej zdania z „Kommuni-

sty”. On też czerpie „natchnienie”, z dzieł klasyków. Czerpie, ale jak? „Za rzadko, za powierzchownie sięgamy do klasyków i stąd rodzi się często nasz dogmatyzm”, pisze kol. Bauman. Cóż, prawda i to. W pewnym sensie wszystkie nasze niedomagania płyną ze zbyt słabej znajomości klasyków znana jest w tej sprawie wypowiedź Stalina. Ale ponieważ słaba znajomość dialektyki marksistowskiej jest wspólnym źródłem wielu błędów, więc dla usunięcia jakiegoś konkretnego błędu nie wystarczy powiedzieć ogólnikowo: czytajcie klasyków.

Moim zdaniem nie ma zasadniczej sprzeczności między tezami Pomiana i Baumana. Istnieje natomiast dowolne zinterpretowanie artykułu sprzeczne z całym duchem artykułu Pomiana. Kol. Pomian twierdził, że nie wystarczy klasyków czytać, że trzeba jeszcze, aby lektura ta stała się bodźcem dla samodzielnej pracy myślowej, a kol.

Bauman podsuwa Pomianowi tezę, że klasyków czytać nie trzeba, a czego tamten jako żywo nie powiedział.

Tu dochodzimy do drugiej sprawy, do zagadnienia metod polemiki. Kiedy się czyta „Empiriokrytycyzm” Lenina uderza skrupulatność, z jaką Lenin bada zarówno obiektywną wymowę, jak i subiektywne intencje przeciwnika. Na wstępie przytacza Lenin kilka zdań, świadczących niedwuznacznie o subiektywnym idealizmie Macha i Avenarius. Zdawałoby się, że to wystarczy. Ale Lenin sięga dalej, śledzi cały ich późniejszy rozwój filozoficzny, konfrontuje swój sąd z różnymi sądami na temat empirio-krytycyzmu, śledzi dalszą jego linię rozwojową, uwzględniając przede wszystkim tych uczniów Macha, których on sam uważa za swych kontynuatorów. I dopiero na tej podstawie zostaje wydana ocena, ocena zaiste druzgocąca.

Trudno wymagać, aby Bauman czekał z sądem o Pomianie do chwili, gdy będzie mógł przestudiować prace Pomianowych uczniów, ale jednak trudno oprzeć się wrażeniu, że jak na ciężkie zarzuty, postawione Pomianowi, bo zarzut rewizjonizmu nie należy, jak wiadomo, do najłżejszych — autor artykułu krytycznego nie dość sumiennie wniknął w poglądy przeciwnika i zbyt szybko odsądził go od czci i wiary. Jeśli ktoś nawet wymachuje żelaznym łomem przed otwartymi drzwiami to jeszcze nie powód, by dać mu łomem w łeb.

Pomian poruszył sprawę istotną i bolesną. Na pewno trzeba niejedno sprostować i niejedno dodać do tego, co napisał. Ale obawiam się, że taka krytyka jaką przeprowadził kol. Bauman, zamknięcie wprawdzie niektórym ludziom usta, ale do zwalczania dogmatyzmu nie przyczyni się.

Potrzeba serdecznej troski

(Migawki z Częstochowy)

W Częstochowie oprócz Jasnej Góry istnieją również dwie wyższe uczelnie — Wyższa Szkoła Ekonomiczna i Politechnika. Tak — od niedawna już nie Szkoła Inżynierska ale właśnie Politechnika.

— Co wam konkretnie daje zmiana nazwy? — spytałem naturalnie kilku częstochowskich studentów.

— O, bardzo wiele — odpowiedzieli. — Już nie jakaś tam szkoła, ale wreszcie Politechnika. Ot choćby prosty przykład — wyjaśnił jeden z aktywistów ZMP: — Byłem podczas wakacji na praktyce w Nowej Hucie. Praktykanci z Politechniki Krakowskiej bardzo się zdziwili, gdy po rozmowie ze mną przekonali się, że zarówno na ich

uczelnii jak i na naszej obowiązuje jednaki program studiów. Myśle, że również towarzysze z Ministerstwa Szkolnictwa będą teraz innym nieco okiem patrzeć na Częstochowę. Dotychczas traktowali nas jako uczelnię drugiego gatunku czego przykłady mieliśmy choćby w otrzymywaniu od nich subsydiów i wyposażeniu domów studenckich.

— No i poza tym kwestie prestiżowe dla kandydatów na studia. W bieżącym roku akademickim mieliśmy o wiele więcej zgłoszeń niż w latach poprzednich — dodał następny z moich częstochowskich rozmówców.

*

Selekcyjny grzebień egzaminów wstępnych w tym roku jak i w po-

zostałych środowiskach wycesał najlepszych. I tutaj bardzo wielu odeszło z kwitkiem. Ale oto nadzieję się przypadkowo na sprawę Sikory, studenta I roku wydz. włókiennictwa. Fakt przypomina groteskowe listy pierwszoroczników drukowane przez nas w „Pokrzywach” pierwszego wrześniowego numeru PO PROSTU. Po kilkunastu dniach studenckiego życia Sikora doszedł do wniosku, że musi zrezygnować ze studiów, bo jest... za młody. — Od kilku dni nie przychodzi na zajęcia — referuje sympatyczny organizator grupy, kol. Jaworska. — Czy pójść do niego do domu, przekonywać by wrócił? — pyta.

Nie znam tego Sikory, ale uważam, że odpowiedź może być tylko jedna. Nie zwracać sobie nim głowy. Jeśli już taki powód podał — na pewno ma rację.

Ale ta sama Jaworska, organizator IV grupy, spotkała się poprzedniego dnia z innym faktem. Jest w grupie niejaki Woźniak. Nie smarkacz, poważny i chętny do nauki student. Jakież było zdziwienie kol. Jaworskiej, gdy spotkała go na ulicy jak sędzię w walizkę w rękę, niespokojnie rozglądając się po sobie.

— Gdzie pędzisz wariacie? — pyta Jaworska. Speszyl się.

— Wracam do domu — odpowiada. — Nie mam z czego żyć.

I tu wyszła poważniejsza sprawa. Gdy Woźniak składał do Dziekanatu swoją ankietę personalną, jego ojciec pracował na dole w kopalni, zarabiał nieźle. W związku z tym nie przyznano synowi stypendium i miejsca w Domu Studenckim. W ostatnich tygodniach ze względu na podeszły wiek przeniesiono Woźniaka seniora do pracy na powierzchni. Co za tym idzie — zmniejszyły się poważnie jego zarobki. Nie jest już w stanie pomagać synowi.

Co robi Woźniak junior? Zasięgnął porady prawnej u kolegów z roku. Ci wyjaśnili mu, że próżne nadzieje, bo władze uczelni wszystkie niewykorzystane stypendia wysłały z powrotem do Ministerstwa... Oto bezpośredni powód nieudanej ucieczki z Częstochowy. Nieudanej, gdyż energiczna organizatorka grupy zawróciła go z drogi na dworzec, a następnego dnia poruszyła niebo i ziemię, czyli wszystkie kompetentne instancje z sekretarzem egzekutywy POP na czele. Efekt tej sprawy taki, że starają mu się o natychmiastowy zasiłek i od października stypendium, choćby po Sikorze.

Sprawa podobnych do tej z Woźniakiem jest niestety znacznie więcej. Koleżanka Barczyk, przewodnicząca koła ZMP, mówiła mi o czerkach z jednego tylko wydziału włókiennictwa. Chcą zrezygnować ze studiów ze względu na ciężkie warunki bytowe. Coś niedobrze z rozdaniem stypendiów w częstochowskiej Politechnice. Jak mnie poinformował student wydziału metalurgicznego, kol. Ostrowski, mieszka on w pokoju z kolegą, którego oj-

ciec posiada 3,5 ha. łączego gruntu i nie jest w stanie pomóc synowi pozabawionemu stypendium. A tenże student był stypendystą przez cały czas nauki w szkole średniej. W Ministerstwie Szkół Wyższych niebył chyba wnikliwie przemysłowo zarządzanie mówiące, że prawo do zakupu karty stołowej po cenie ulgowej mają tylko stypendyści.

A jaki jest skutek? Taki, że pewna ilość studentów szuka wsparcia w charytatywnych instytucjach kościelnych.

Cudów nie ma, proszę kompetentnych czynników...

*

— O rany, jakie dzieciuchy! — mówią o pierwszorocznikach studenci lat wyższych.

Pierwszorocznicy jak mogą usiłują naśladować starszych studentów. I to nie zawsze od najlepszej strony. Z wypowiedzi na zebraniu konsumentów z kierownictwem stołówek w Wyższej Szkole Ekonomicznej wynikało, iż studenci pierwszego roku usiłują dodać sobie akademickiego sztafu przez niechlujne zachowanie się w jadłodajni, pobieranie obiadów poza kolejnością i arogancję, łobuzerskie czasem odezwanie się w stosunku do personelu stołówek. Coż, nauka studentów nie idzie w las...

Jednak pierwszy rok studiów obu częstochowskich uczelni wystartował pracowicie. Po skończonych zajęciach zastaniesz w każdym pokoju domów studenckich młodych ludzi, pochylonych w skupieniu nad książką, czy deską kreślarską.

Poziom przygotowania jest zróżnicowany. Ci po szkołach ogólnokształcących łatwiej radzą sobie z fizyką czy chemią. Ci z technikami zawodowymi natomiast z kreśleniem i matematyką. Wykładowcy i prowadzący zajęcia nie uwzględniają na ogół tych różnic. Ruszono z kopyta zgodnie z programem. — Nie potrafimy kreślić — skarżą się dziewczęta z wydziału włókiennictwa. — Siedzimy nocami nad deską.

Rozmawiam z tow. Kostkowskim, przewodniczącym Zarządu Uczelnianego ZMP przy WSE. Powiedział: — Studenci I roku są po prostu przerażeni Nową terminologią, konsultacje, wykłady. „Nie damy sobie rady” — tragizują. Już kilka osób, ogarniętych paniką, zrezygnowało ze studiów. Władze nie czynią im na ogół przeszkód. Rozmawiałem z dziewczyną, która ogarnięta pierwszą gorączką strachu poszła do dziekana. Zwrocił jej dokumenty bez słowa.

— Dlaczego nie zachęcił mnie, nie przekonał jak wy teraz — rozpaczala dziewczyna. — Po tym wszystkim nie mam śmiałości i odwagi pójść do dziekana z powrotem. Nie chcę się ośmieszyć.

Wzruszenie ramionami, pobłażliwy lub ironiczny uśmiech — to żadna metoda. Im trzeba serdecznie pomóc.

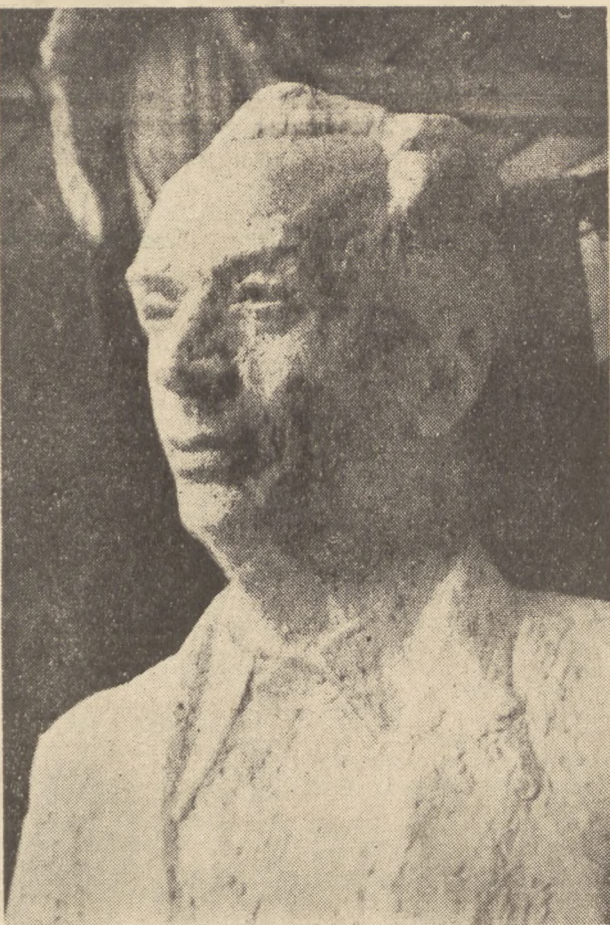
T. J.

NAGRODY CZEKAJĄ...

Laureatki i uczestnicy plebiscytu konkursowego na „Najładniejszy uśmiech studentki” proszeni są o podanie aktualnych adresów REDAKCJA

SPROSTOWANIE

W związku z artykułem pt. „Mieścisko na dloni” opublikowanym w nr 322 z dnia 27 III 1955 r. wyjaśniamy, że zarzuty odnoszące się do niektórych pracowników apteki w Pułtusku nie dotyczą mgr Franciszka Pajdy. Redakcja



nasza wystawa

IRENA MOLIN-SOWA

absolwent PWSSP we Wrocławiu

Portret Gustawa Morcinka

METODY SOWA

absolwent PWSSP we Wrocławiu

Portret Benedykta Hertza

IRENA i METODY SOWA

Fragment pomnika gen. Świerczewskiego

